

BERNARDIN DE SAINT-PIERRE

Paweł i Wirginia

 SAGA
EGMONT

BERNARDIN DE SAINT-PIERRE

Pawet i Wirginia

 SAGA
EGMONT

Bernardin de Saint Pierre

PAWEŁ I WIRGINIA

SAGA EGMONT

Paweł i Wirginia

Copyright © 1979, 2018 Bernardin de Saint-Pierre i SAGA

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788711662380

1. Wydanie w formie e-booka, 2018

Format: EPUB 2.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą SAGA oraz autora.

SAGA Books, spółka wydawnictwa Egmont

Przedmowa

Ważylem się w tym małym dziełku na wielkie zamiary. Pokusiłem się odmalować klimat i roślinność inne od naszych. Poeci dosyć się naoprowadzali kochanków po brzegu ruczajów, po łąkach i pod cieniem buków. Ja chciałem dać im spocząć nad morzem, u stóp skał, w cieniu kokosów, bananów i kwitnących cytryn. Drugiej części świata brak jeno Teokrytów i Wergilich, abyśmy mogli czerpać z niej obrazy co najmniej równie zajmujące co obrazy naszych lądów. Wiem, iż pełni smaku podróżnicy dali nam czarujące opisy licznych wysp południowych, ale obyczaje mieszkańców, a bardziej jeszcze Europejczyków, którzy się tam osiedlą, psują częstokroć krajobraz. Z pięknnością natury międzyzwrotnikowej zapragnąłem połączyć piękność moralną małego społeczeństwa. Zamierzyłem równocześnie uwidocznąć w mym opowiadaniu wiele cennych prawd, między innymi tę, że szczęście polega na tym, aby żyć wedle natury i cnoty. Ale nie potrzebowalem wymyślać bajki, aby odmalować to rodzinne szczęście. Mogę upewnić, że osoby, o których będę mówił, naprawdę istniały i że historia ich jest w głównych zarysach prawdziwa. Potwierdziło ją wielu znajomych z Ile-de-France. Dodałem jedynie parę ubocznych szczegółów, które tym samym, że mi są osobiste,

posiadają i w tym jeszcze wartość rzeczywistości. Kiedy przed kilku laty skreśliłem bardzo szkicowy zarys tej sielanki, prosiłem pewną piękną panią bywającą w wielkim świecie oraz kilku poważnych ludzi, którzy żyli odeń z dala, aby pozwolili ją sobie odczytać. Pragnąłem ocenić wrażenie, jakie powiastka ta wywrze na czytelnikach tak różnego rodzaju: doznałem tej przyjemności, iż ujrzałem, jak wszystkim wyciska łzy z oczu. To był jedyny sąd, jaki zdołałem uzyskać, to było też wszystko, czego pragnąłem się dowiedzieć. Ale jak to często duża przywara rodzi się z małego talentu, powodzenie natchnęło mnie tą próżnością, aby dać swemu dziełu tytuł: *Obrazy natury*. Na szczęście przypomniałem sobie, jak bardzo natura, nawet tych stron, w których się urodziłem, jest mi obca; jak bardzo w krajach, których płody oglądałem jeno okiem podróżnego, jest ona bogata, różnorodna, powabna, wspaniała, tajemnicza i jak bardzo zbywa mi bystrości, smaku i wrażeń, aby ją poznać i odmalować. Wszedłem wówczas w samego siebie. Objąłem tedy tę słabą próbę skromniejszym mianem, czyniąc ją dalszym ciągiem *Studiów przyrody*, które publiczność przyjęła tak życzliwie; iżby ten tytuł, przypominając czytelnikom moją nieudolność, wciąż odwoływał się do ich pobłażania.

Wstęp

Dziełko to jest jedynie wytchnieniem w moich *Studiach przyrody*: oparłem się na jej prawach, aby odmalować szczęście dwóch ubogich rodzin. Utwór ten ukazał się w druku w roku 1786, a przyjęcie, z jakim się spotkał od początku, przeszło moje oczekiwanie. Powstały na jego tle nieprzeliczone romanse, idylle, kilka sztuk teatralnych. Wiele matek dało swym dzieciom imiona Pawła i Wirginii; słowem, sława tej sielanki rozeszła się po całej Europie, ją zaś samą przełożono kolejno na język angielski, włoski, niemiecki, holenderski, polski, rosyjski i hiszpański. Bez wątpienia to jednogłośnie powodzenie u narodów o tak rozmaitych zapatrywaniach zawdzięczam kobietom, które w każdym kraju sprowadzają, ile tylko w ich mocy, mężczyzn do praw natury. Dały tego oczywisty dowód, jako iż większość owych przekładów dokonały panie lub panny. Byłem zachwycony, wyznaję, widząc swoje przybrane dzieci przystrojone w cudzoziemskie szaty przez macierzyńskie lub dziewicze ręce; tym to rękami bez wątpienia zawdzięczają reputację, która zdaje się już sięgać w potomność.

Wiele osób zadawało mi pytania w przedmiocie dzieła. „Czy w istocie, mówiły, starzec ów opowiadał panu swą historię? Czy widziałeś miejsca, które odmalowałeś? Czy

Wirginia w istocie znalazła śmierć tak żalosną? W jaki sposób młoda dziewczyna może się zdobyć na to, aby się rozstać raczej z życiem niż z odzieżą?”

Odparłem: „Człowiek podobny jest dziecku. Dajcie dziecku różę, zrazu cieszy się nią, niebawem pragnie ją poznać. Bada jej listki, następnie oskubuje je, a kiedy pozna całość, nie ma już róży. Telemak, Klarysa i tyle innych przedmiotów, które skłaniają nas ku cnocie lub wyciskają z oczu łzy, czy istnieli naprawdę?”

W gruncie jestem przekonany, iż osoby te zadawały mi pytania raczej przez współczucie ludzkie niż przez ciekawość. Były zmartwione, iż parę tak czułych i szczęśliwych kochanków spotkał tak żalosny koniec.

Dałby Bóg, abym miał swobodę nakreślić cnocie drogę szczęścia tu na ziemi! Ale, powtarzam, opisałem miejsca rzeczywiste, obyczaje, których wzory znalazłoby się może dziś jeszcze w jakichś ustronnych okolicach Ile-de-France lub wyspy Bourbon, jej sąsiadki, oraz bardzo rzeczywistą katastrofę, której mogę przedstawić, nawet w Paryżu, nieodparte świadectwa.

Jednego dnia, w Parku Królewskim, dama pewna o bardzo zajmującej fizjognomii przechadzająca się w towarzystwie męża, dowiedziawszy się od pana Jana Thouin, dyrektora ogrodu, że jestem autorem *Pawła i Wirginii*, podeszła do mnie: „Och! panie, rzekła, jakże straszną noc spędziłam przez pana! Bez ustanku szlochałam i zalewałam się łzami. Osoba, której nieszczęśliwy koniec w katastrofie statku Saint-Géran opisałeś z taką prawdą, była moją krewną. Jestem Kreolką z Bourbon.” Dowiedziałem się później od pana Jana Thouin, że ta pani jest małżonką pana de Bonneuil, pierwszego kamerdynera Jegomości¹. Później dama ta pozwoliła mi

łaskawie ogłosić swoje świadectwo co do tej katastrofy oraz przytoczyła okoliczności zdolne pomnożyć jeszcze zainteresowanie, jakie budzi śmierć tej szczytnej ofiary wstydu, jak również śmierć jej nieszczęśliwego kochanka.

Inne osoby wyraziły pragnienie, abym je zapoznał nieco bliżej z życiem pana de La Bourdonnais; a stosunki moje z jego rodziną pozwoliły mi uczynić im zadość.

„Główną jego cnotą była miłość ludzkości. Pomniki, jakie zbudował w Ile-de-France, są świadectwem tej prawdy...”

W istocie, widziałem na tej wyspie, gdzie służyłem jako inżynier królewski, nie tylko baterie i reduty, jakie wznosił tam w najodpowiedniejszych miejscach, ale także magazyn i szpitale bardzo roztropnie rozmieszczone. Jemu to zawdzięczamy zwłaszcza wodociąg, więcej niż trzy ćwierci mili długi, prowadzący wodę z małej rzeczki aż do Port-Louis, gdzie przedtem nie było wcale wody możliwej do picia. Wszystko, co widziałem na tej wyspie najużyteczniejszego i najlepiej wykonanego, jest jego dziełem.

Cnoty wojskowe pana de La Bourdonnais nie ustępowały talentom administratora. Mianowany gubernatorem Ile-de-France i wyspy Bourbon, pobił, na czele siedmiu okrętów, eskadrę admirała Peyton, który krążył koło wybrzeża Koromandelu ze znacznie przeważającymi siłami. Po tym zwycięstwie pośpieszył natychmiast oblegać Madras mając za całą siłę zbrojną jedynie tysiąc ośmiuset ludzi, licząc białych i czarnych. Zdobywszy tę główną siedzibę angielskiego handlu w Indiach, wrócił do Francji. Istniały niesnaski między nim a panem Dupleix, gubernatorem Pondichéry. Natychmiast po powrocie do ojczyzny oskarżono pana de La Bourdonnais, iż obrócił na swą korzyść zdobyte bogactwa; za czym, bez bliższych

dochodzeń, wtrącono go do Bastylii. Jako głównego świadka zbrodni przeciwstawiono mu prostego żołnierza. Człowiek ten upewniał pod przysięgą, iż po zdobyciu Madras, stojąc na warcie na bastionie, widział w nocy szalupy wiozące wielką mnogość skrzyń i pak na okręt pana de La Bourdonnais. Potwarz tę poparło w Paryżu swoim wpływem wielu zawistnych, których noga nigdy nie postąpiła w Indiach, ale którzy, we wszelkim kraju, zawsze są gotowi szarpać cudzą cześć. Nieszczęśliwy zwycięzca spod Madras zaręczał, iż niemożliwym jest, aby z bastionu wskazanego przez żołnierza mógł ktoś widzieć owo ładowanie, gdyby nawet było ono prawdą. Ale trzeba było tego dowieść; otóż zgodnie z obyczajem tyranii praktykowanej wówczas na więźniach Stanu odjęto oskarżonemu wszelkie środki obrony. Pan de La Bourdonnais potrafił zgromadzić pełne i niezbite dowody za pomocą bardzo prostych sposobów, które dadzą pojęcie o zasobach jego umysłu. Najpierw sporządził sobie nożyk z wyostrzonej na kamieniu monety; następnie pociąwszy nim gałązki bukszpanu, rozdzielone zapewne między więźniów w porze Wielkanocnej, sporządził kompas i pióro. Zastąpił papier chustkami do nosa powleczonymi warstwą gotowanego ryżu i wysuszonymi na słońcu. Sporządził atrament z wody i ze spalonej słomy. Trzeba mu było wreszcie farb, aby nakreślić plan i mapę okolic Madras; żółtą sporządził z kawy, zieloną zaś z powleczonych grynszpanem i wygotowanych groszaków. Wszystkie te szczegóły posiadam od biednej córki gubernatora: przechowuje jeszcze z szacunkiem te pomniki przemysłności, która wróciła wolność jej ojcu. W ten sposób zbrojny w scyzoryk, kompas, linijkę, pióro, papier, atrament i farby swego wymysłu nakreślił z pamięci plan zdobytej fortecy, napisał memoriał i wykazał niezbitcie,

że oskarżyciel, jakiego mu przedstawiono, jest fałszywym świadkiem i że z bastionu, gdzie stał na posterunku, nie mógł widzieć okrętu komendanta ani nawet eskadry. Te środki obrony wręczył tajemnie prawnikowi, który mu służył za doradcę; ów przedłożył je sędziom. Był to dla nich błysk światła; za czym po trzech latach więzienia wypuszczono nieszczęśliwego z Bastylii. Cierpiał jeszcze trzy lata po uwolnieniu, przygnieciony zgryzotą, widząc, iż całe jego mienie poszło w rozsypkę i że za tyle ważnych usług zebrał same jeno oszczerstwa i prześladowania. Więcej bez wątpienia bolała go niewdzięczność rządu niż tryumfująca zazdrość nieprzyjaciół. Nigdy, nawet w więzieniu, nie mogli pognębić jego szczerości i hartu. Śród licznych oskarżycieli, którzy składali przeciw niemu zeznania, był i dyrektor Kompanii Indyjskiej. Ten sądził, iż uczyni mu nieodparty zarzut, pytając, czym wytłumaczy, iż tak dobrze prowadził interesy własne, a tak lichy interesy kompanii. „Dlatego — odparł La Bourdonnais — iż interesy własne prowadziłem zawsze wedle mego rozumienia, sprawy zaś kompanii wedle otrzymywanych instrukcyj.”

Bernard Franciszek Mahé de La Bourdonnais urodził się w Saint-Malo w 1699, umarł zaś w 1754, licząc około pięćdziesięciu pięciu lat. O wy, którzy pracujecie nad szczęściem ludzkim, nie spodziewajcie się nagrody za życia! Potomność jedynie zdoła wam oddać sprawiedliwość. To był też los zwycięzcy spod Madras i założyciela kolonii w Ile-de-France. Józef Dupleix, rywal jego fortuny i chwały w Indiach i najokrutniejszy z jego prześladowców, umarł niedługo po nim, doznawszy (słuszny odwet Opatrzności!) podobnej doli w ostatnich latach. Rząd wyznaczył wdowie po panu de La Bourdonnais pensję 2400 funtów i uczcił wyrazami żalu pamięć znakomitego człowieka; a czcigodna

jego córka zawiadamia mnie właśnie, iż mieszkańcy Ile-de-France, z własnego popędu, przez pamięć usług, jakich doznali od ojca, uchwalili dla niej pensję.

Sądzę, iż żaden z czytelników nie weźmie mi za złe, że oddaliłem się nieco od przedmiotu, aby oddać ten skromny hołd cnotom nieszczęśliwego wielkiego człowieka, jego godnej córki oraz wdzięcznej kolonii.

Jestem stary. Podróż mego życia ma się ku końcowi. Ale jeśli Opatrzność, która wśród tyłu burz kierowała mym wątlm czółnem, opóźni o kilka lat przybycie do portu, obrócę je na to, aby zebrać inne jeszcze studia. Późne kwiaty mej wiosny przyrzekają jeszcze nieco owoców na jesień. Jeśli płomienie burzliwej jutrzeńki dały rozwinąć się tym kwiatom, blaski spokojnego zachodu pozwolą dojrzeć owocom. Opisałem przelotnie szczęście dwojga dzieci wychowanych na łonie natury przez matki doświadczone losem; spróbuję odmalować szczęście ludu sprowadzonego do swych wiekuistych praw przez rewolucje.

Minione nieszczęścia niech nam pozwolą wróżyć o przyszłej szczęśliwości. Nawet boska Inteligencja jedynie za pomocą przewrotów rozwija swe dzieła i wie dzie je z doskonałości w doskonałość.

Nie zamknęła ona w małej żółędzi potężnego dębu okrytego liściem. Złożyła w niej jedynie wątlzy zawiązek pierwotnych elementów. Ale nakazuje wodom nieba i ziemi żywić go, skałom przyjąć w swe łono głębokie korzenie, burzom umocnić je przez swe wstrząśnienia, słońcu użyźnić je, porom roku okrywać kolejno sękatę konary zielonością, kwieciami i owocem, biegowi lat wzmacniać pień nowymi kręgami, wznosić go ponad lasy i uczynić zeń trwały pomnik dla zwierząt i ludzi.

Tak samo z naszym globem; nie wyszedł on z rąk Stwórcy takim, jakim widzimy go dzisiaj. Opatrzność nakazała wiekom, aby toczyły go w niebiosach i rozwijały wedle periodów, które nam są nie znane. Stworzyła go zrazu w strefie ciemności i zim, zagrzebanym pod rozległym oceanem lodów, niby dziecię spowite w błony w macierzystym łonie. Niebawem środek jego i bieguny namagnetyzowały się rozmałą siłą przyciągania, dzięki słońcu, które zabłysło na wschodzie. Wody jego, ogrzane w pobliżu równika, wniosły się w gęstych mgłach w atmosferę prężną od ciepła, wiatry rozegnały je w powietrzu, zmrożone jeszcze bieguny pociągnęły je i uwięziły w nowych oceanach lodu na krańcach swych osi, utrzymywanych w zgodzie za pomocą tej ruchomej przeciwwagi. Stawszy się lżejszym na wschodzie, glob uniósł się swoim zachodem, jeszcze nieruchomym od zimna i cięższym, ku słońcu, które go przyciągało. Wówczas zaczął krążyć koło samego siebie, kołysząc swoje bieguny w kręgu jednego roku, dokoła gwiazdy, która mu dała ruch i życie. Niebawem na powierzchni płynnych mórz, wpółwyczerpanych przez powietrze i lodowate morza, jakie z nich wyszły, ukazały się granitowe wierzchołki lądów stałych i wysp, niby pierwsze punkty kostne szkieletu ziemi.

Stopniowo wody morskie, nasycone światłem i solami, osadziły dokoła siebie swe narosty i przetworzyły je w rozległe pokłady skał wapiennych, tak samo jak wody powietrzne zmieniają się w drzewo w roślinach, soki zaś roślin w krew i ciało w zwierzętach. Tak utworzyły się w sferach burz głązy i twarde minerały, te kości i nerwy ziemi, do których miały się przyczepić niby mięśnie szerokie grzbiety gór, przeznaczone, by dźwigać ciężar lądów. Grunt ich, jamisty i jeszcze źle osiedziały, wynurzając się na

światło, umocnił się przez trzęsienia; z tych straszliwych starć wiry dymu wzniosły się na powierzchni mórz zwiastując pierwsze wulkany, których ognie miały je oczyścić.

Z innych przewrotów rodziły się inne twory. Glob, przeciążony na biegunach dwoma oceanami lodów o nierównej wadze, chwiejny sam w sobie, wystawiał je kolejno na słońce; kolejno wypływały z nich szerokie prądy, które orały, każdy po pół roku, obie półkule. Północny wyłobił najpierw zarysy olbrzymiego kanału, w którym Atlantyk, podobny do rzeki, zamyka dziś swoje wody i przetacza je, dwa razy dziennie, między starym a nowym światem. Południowy, przeciwnie, zstępując z lodowca utwierdzonego w łonie szerokiego oceanu drugiej półkuli i utrzymując równowagę z przeważną częścią przeciwległych lądów stałych, przelewa, raz dziennie, na ich brzegi swe rozbieżne fale, w tym samym czasie i z tej samej strony, z której słońce rozżarza biegun swymi promieniami. Na wpół skrzepłe strumienie, wypływając zeń, wyrzeźbiły brzegi starego świata w liczne archipelagi, szerokie zatoki i wydłużone przylądki.

Glob nasz jest to okręt niebieski, sferyczny, bez steru i dzioba, sposobny do żeglowania we wszelkich kierunkach, po całej rozciągłości niebios. Słońce jest jego magnesem i sercem; Ocean krwią, której krążenie daje mu zdolność ruchu. Gwiazda dnia powoduje jej skurcz i rozkurcz, przypływ i odpływ, wedle swej obecności i nieobecności, wedle dnia i nocy, lata i zimy, stanu mórz płynnych lub ściętych lodem. Bieguny globu zmieniają z biegiem wieków swe położenie, wskutek rozmaitych układów równowagi lodowatych oceanów. Był czas, iż te, które znajdują się obecnie w południku, znajdowały się na równiku; upalne

strefy były tam, gdzie strefy umiarkowane i lodowate, te zaś gdzie strefy tropikalne; wieczna zima srożyła się w innych okolicach, morza zaś lodowate wymykały się jej władzy innymi kanałami. Sfery ich, różnorako nachylone ku słońcu, są w rękach Opatrzności niby grające walce, których osie wystarczy podnieść albo obniżyć o kilka stopni, aby zmienić całą melodię.

Wówczas zapewne dopiero, kiedy Opatrzność przeprowadziła ów glob, śmiał tak się wyrazić, przez kolejne okresy dzieciństwa, młodości i pokwitania, stworzyła kolejno twory roślinne, zwierzęta i ludzi; tak jak pozwala wydawać drzewu, po pewnym okresie lat, kolejno liście, kwiaty i owoce. Ale w czasie gdy glob zaledwie wychylał jakieś członki lądów nad powierzchnię mórz, strumienie jego biegunów pokrytych lodem oraz wody płynące z najwynioślejszych gór wyżłobiły swoim spadkiem liczne amfiteatry, które słońce oświecało kolejno z rozmaitych stron, pod tym samym stopniem szerokości. Wody te wydrążyły rozległe i głębokie doliny, po których błądzą dziś nieprzeliczone trzody. Okrzeszały strome wierzchołki skał stanowiące urok naszych krajobrazów. Burze atmosferyczne przydały im piękności. Przeniosły w przestwór pierwsze nasiona lasów, które rosną na niedostępnych płaskowyżach.

Ocean, wyczerpując z wieku na wiek swe wody nieprzebraną produkcją, wzniósł obniżając się szczyty pierwotnych wysp; cofając zaś swoje brzegi, wcielił te wyspy w łono lądów stałych. Ich to starożytne piramidy wieńczą w rozmaitej wysokości łańcuchy gór. Jedne okryte są zielonością; inne zupełnie nagie, jak w dniu swoich urodzin; inne, wiecznie otoczone śniegami i lodem, wydają się, jakby były na poziomie biegunów; inne rzygają z siebie